

JOHN GREEN

Złotwie
AŻ DO
Końca



BUKOWY LAS

1

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że mogę być fikcją, podczas monotonnych dni spędzanych w publicznej instytucji znanej jako liceum White River na północy Indianapolis, gdzie siły o tyle większe ode mnie, że nie jestem w stanie nawet spróbować ich zidentyfikować, kazały nam jeść lunch w określonym okienku czasowym – między 12:37 a 13:14. Gdyby te same siły wyznaczyły mi inny czas na lunch albo gdyby towarzysze lunchu, którzy stali się współtwórcami mojego losu, tamtego wrześniego dnia wybrali inny temat rozmowy, czekałby mnie całkiem inny koniec, a przynajmniej inny środek. Zaczynałam jednak rozumieć, że życie to nie tyle twoja opowieść, co opowieść o tobie.

Oczywiście udajesz, że jesteś jej autorem. Musisz. Myślisz: „Teraz pójde na lunch”, gdy o 12:37 z góry dobiega ten monotony dzwonek. Ale to on decyduje. Łudzisz się, że jesteś malarzem, a w rzeczywistości jesteś płótnem.

W stołówce przekrzykiwały się setki głosów, zmieniając rozmowy w jednostajny szum przypominający łoskot rwącej rzeki przewalającej się przez kamienie. W obrzydliwie sztucznym świetle jarzeniówek myślałam o tym, że choć każde z nas uważa się za bohatera osobistej epopei,

w istocie jesteśmy niemal identycznymi organizmami zasiedlającymi wielką, pozbawioną okien salę cuchnącą lizolem i smalcem.

Jadłam kanapkę z masłem orzechowym i miodem. Piłam dra peppera. Szczerze mówiąc, cały proces przeżuwania zwierząt i roślin, a potem przepychania ich przez przełyk wydaje mi się nieco obrzydliwy, więc starałam się nie myśleć o tym, że jem, co oczywiście także jest formą myślenia o tym.

Nasz stolik przypominał sztukę nieschodzącą z afisza na Broadwayu: aktorzy z biegiem czasu się zmieniali, ale role nigdy. Naprzeciwko mnie Mychal Turner bazgrał coś w notesie z żółtymi kartkami. Mychal był typem artysty, a Daisy Ramirez, usiłująca prowadzić z nim rozmowę, od czasu podstawówki wcielała się w rolę mojej Najlepszej i Najbardziej Nieustraszonej Przyjaciółki. Niestety z powodu hałasu nie słyszałam ani słowa z ich konwersacji.

Kim byłam w tym przedstawieniu ja? Postacią drugoplanową. Koleżanką Daisy, córką pani Holmes. Czymś kimś.

Czułam, jak mój żołądek zaczyna trawić pożywienie, i mimo panującego wokół hałasu słyszałam, jak pracuje. Bakterie przeżuwały maż masła orzechowego niczym uczniowie w mojej wewnętrznej stołówce. Wstrząsnął mną dreszcz.

– Czy ty czasem nie byłaś z nim na obozie? – odezwała się Daisy.

– Z kim? – zdziwiłam się.

– Z Davisem Pickettem.

– Owszem – odparłam. – A co?

– Nie słyszałaś? – zapytała.

Ależ słyszałam. Kakofonię moich narządów. Oczywiście od dawna wiedziałam, że jestem gospodynią legionu pasożytniczych organizmów, ale nie lubiłam, gdy mi o tym przypominano. W przeliczeniu na liczbę komórek ludzie składają się w pięćdziesięciu procentach z mikrobów, co oznacza, że mniej więcej połowa tworzących cię komórek w ogóle nie jest twoja. Liczba mikrobów w moim biomie jakieś tysiąc razy przewyższa liczbę ludzi na całej Ziemi, a ja czasem mam wrażenie, że czuję, jak we mnie żyją, mnożą się i umierają. Wytarłam o dżinsy spoczone dłonie i starałam się skupić na oddechu. Przyznaję, że mam pewien problem lękowy, ale z drugiej strony, cóż jest nieracjonalnego w przejmowaniu się faktem, że jest się wielką kolonią bakterii obleczoną w skórę?

– Jego ojciec miał iść do więzienia za łapówki – wyjaśnił Mychal – ale kiedy po niego przyszedli nad ranem, okazało się, że zniknął. Wyznaczyli nagrodę stu tysięcy dolarów za jego odnalezienie.

– A ty znasz jego syna! – podniecała się Daisy.

– Znałam – poprawiłam ją.

Daisy atakowała widelcem prostokątną stołówkową pizzę z zieloną fasolką, raz po raz zerkając na mnie wzrokiem mówiącym: „No dalej!”. Czułam, że powinnam ją o coś zapytać, ale nie wiedziałam o co, bo mój żołądek nie chciał się zamknąć, a głową zawładnął strach, że mogłam się zarazić pasożytem.

Mychal nawijał o jakimś nowym projekcie, w którym wykorzystuje Photoshop do wyciągnięcia średniej z set-

ki zdjęć twarzy ludzi o imieniu Mychal, by w ten sposób stworzyć nowego, sto pierwszego Mychala. Pomysł wydał mi się ciekawy i chciałam o nim posłuchać, ale w stołówce było za głośno, a poza tym nie mogłam przestać myśleć o tym, że coś niedobrego dzieje się z mikrobiotyczną równowagą sił w moim organizmie.

Nadmierne burczenie w brzuchu jest rzadko spotykanym, lecz notowanym objawem zarażenia bakterią *Clostridium difficile*, które może doprowadzić do śmierci. Wyjęłam komórkę i wpisałam w wyszukiwarke „Flora fizjologiczna człowieka”, by jeszcze raz przeczytać w Wikipedii charakterystykę bilionów zamieszkujących mnie mikroorganizmów. Przeszłam do artykułu o *Clostridium difficile* i przewinęłam do fragmentu o tym, że większość zarażeń następuje w szpitalach. Znalazłam listę objawów, z których nie miałam żadnego oprócz nadmiernego burczenia w brzuchu, choć wiedziałam z poprzednich wyszukiwań, że w klinice w Cleveland zmarła przynajmniej jedna pacjentka uskarżająca się wyłącznie na burczenie i gorączkę. Powtarzałam sobie, że przecież nie mam gorączki, a moje „ja” dodawało: „...jeszcze”.

W stołówce, gdzie wciąż przebywał kurczący się skrawek mojej świadomości, Daisy perorowała, że projekt nie powinien dotyczyć ludzi o imieniu Mychal, lecz więźniów, którzy po fakcie zostali oczyszczeni z zarzutów.

– Zresztą byłoby prościej – mówiła – bo wszystkim robi się w więzieniu zdjęcie pod tym samym kątem, a poza tym nie chodzi o coś tak prostego jak imię, tylko o rasę, klasę i masowe aresztowania.

- Jesteś genialna – odparł Mychal, a ona mu na to:
- Nie wiedziałeś?

Ja tymczasem zastanawiałam się, czy skoro połowa komórek we mnie nie jest moja, całe pojęcie jednostki, zwłaszcza w znaczeniu kogoś, kto steruje swoim życiem, nie jest przereklamowane. Tak głęboko wpadałam w ten wir rozmyślań, aż kompletnie odpłynęłam ze stołówki liceum White River w jakieś nieuchwytnie miejsce, które odwiedzają jedynie osoby naprawdę stuknięte.

Od dzieciństwa mam zwyczaj wbijania paznokcia prawego kciuka w opuszek środkowego palca, co zaowocowało osobliwym zgrubieniem. Po wielu latach takich praktyk skóra w tym miejscu łatwo pęka, więc przyklejam plaster, żeby zapobiec infekcjom. Czasem jednak dopada mnie lęk, że infekcja już się rozwija, więc muszę ją usunąć – a jedyny sposób to otwarcie rany i przyciskanie jej, by upuścić trochę krwi. Kiedy już zaczynam myśleć o upuszczeniu krwi, po prostu nie mogę tego nie zrobić. Wybaczcie podwójne przeczenie, ale ta sytuacja sama w sobie jest takim przeczeniem – zaułkiem, z którego można się wydostać jedynie poprzez zanegowanie negacji. Tak czy owak, poczułam, jak mój paznokieć wbija się w skórę palca, i wiedziałam, że wszelki opór jest zasadniczo bezcelowy, więc pod stołem zsunęłam plaster i naciskałam zgrubiałą skórę, póki nie pękła.

– Holmesy – odezwała się Daisy. Podniosłam na nią wzrok. – Lunch się kończy, a ty ani słowem nie wspomniałaś o moich włosach. – Potrząsnęła głową i zobaczyłam jaskraworóżowe pasemka.

O. Pofarbowwała.

– Odważne – powiedziałam, wynurzając się z głębin.

– Prawda? Jakby mówiły: „Panie i panowie, a także osoby nieidentyfikujące się jako panie czy panowie, Daisy Ramirez nie łamie obietnic, ale za to potrafi złamać wam serca”.

„Łam serca, nie obietnice” było życiowym mottem Daisy. Odgrażała się, że wytatuuje to sobie wokół kostki, gdy skończy osiemnaście lat.

Tymczasem przeniosła uwagę na Mychała, a ja wróciłam do swoich myśli. Burczenie w brzuchu się wzmogło i miałam wrażenie, że zwymiotuję. Jak na kogoś, kto obsesyjnie nienawidzi płynów ustrojowych, rzygam całkiem sporo.

– Wszystko OK, Holmesy? – zapytała Daisy. Pokiwałam głową. Czasem się zastanawiałam, dlaczego mnie lubi, a przynajmniej toleruje. Dlaczego ktokolwiek mnie znosi, skoro wkurzam nawet samą siebie?

Czułam, jak pot występuje mi na czoło – a kiedy już zaczynam się pocić, to na całego. Pocę się godzinami, nie tylko na twarzy czy pod pachami. Poca mi się łydki, piersi, szyja.

Do licha, może faktycznie mam gorączkę.

Pod stołem wsunęłam do kieszeni stary plaster i bez patrzenia wyjęłam nowy, rozwinęłam i dopiero wtedy na chwilę spojrzałam w dół, by przykleić. Przez cały czas wdychałam powietrze nosem i wydychałam ustami, tak jak zalecała doktor Karen Singh: „Wydmuchuj tak, żeby twój oddech zachwiał płomykiem świecy, ale jej nie zga-

sił. Wyobraź sobie tę świecę, Azo, dmuchaj na nią i patrz, jak płomyk migocze, lecz trwa”. Próbowałam, ale spirala myśli i tak się zacieśniała. Słyszałam, jak doktor Singh mówi, żebym nie wyjmowała telefonu i nie sprawdzała po raz kolejny tych samych haseł, ale i tak wyjęłam komórkę i wklepałam w Wikipedii „Flora fizjologiczna człowieka”.

Problem ze spiralą myślową jest taki, że kiedy ruszasz nią do wewnątrz, nigdy się nie kończy – po prostu zacieśnia się w nieskończoność.

Zamknęłam ostatnią ćwiartkę kanapki w hermetycznym woreczku, wstałam i wyrzuciłam ją do przepelnionego kubła na śmieci.

– Jak bardzo powinnam się martwić tym, że nie wypowiedziałas przez cały dzień więcej niż dwóch słów z rzędu? – zapytał głos za mną.

– Spirala myślowa – wymamrotałam w odpowiedzi. Daisy znała mnie od szóstego roku życia. Nie musiałam jej nic tłumaczyć.

– Tak myślałam. Kurczę. Spotkajmy się po lekcjach.

Podeszła do nas niejaka Molly, cała w skowronkach.

– Pewnie cię zainteresuje, że twoje lemoniadowe włosy pobrudziły ci bluzkę – oświadczyła z satysfakcją, patrząc na Daisy.

Daisy zerknęła przez ramię – i rzeczywiście, na pasistej koszulce widniały różowe smugi. Zmarszczyła brwi, ale zaraz wyprostowała się dumnie.

– To część mojego wizerunku, Molly. Poplamione bluzki są najnowszym krzykiem mody w Paryżu. – Obróci-

ła się do mnie. – To co? Jedziemy do ciebie i oglądamy *Rebeliantów*? – Miała fioła na punkcie *Gwiezdnych wojen*. Nie tylko filmów, ale książek, animacji i tego serialu dla dzieci, w którym wszystkie postacie zrobione są z lego. Pisała nawet fanfiki o perypetiach miłosnych Chewbakki. – I będziemy poprawiać ci nastrój, aż zdołasz wypowiedzieć trzy albo i cztery słowa z rzędu, dobra?

– Brzmi nieźle.

– A potem możesz mnie podzucić do pracy. Wybacz, ale potrzebuję podwózki.

– Spoko. – Chciałam powiedzieć więcej, ale myśli wciąż nacierały. Nieproszone, niechciane. Gdybym była kreatorką swego życia, przestałabym myśleć o swojej florze fizjologicznej. Powiedziałabym Daisy, jak bardzo podoba mi się projekt zdjęciowy Mychala oraz że owszem, pamiętam Davisa Picketta. Pamiętam, jak miałam jedenaście lat i już wtedy dźwigałam na swoich barkach nieokreślony lęk. Opowiedziałabym, jak pewnego razu na obozie leżałam obok Davisa na skraju pomostu, zwieszając nogi nad wodą i czując pod plecami nieheblowane deski. Gapiliśmy się na bezchmurne letnie niebo. Powiedziałabym jej, że nigdy wiele nie rozmawialiśmy ani nawet nie patrzyliśmy na siebie, ale to nieważne, bo patrzyliśmy razem na to samo niebo, co może nawet jest rzeczą bardziej intymną niż patrzenie sobie w oczy. Każdy może na ciebie spojrzeć, lecz spotkanie kogoś, kto widzi ten sam świat co ty, jest zjawiskiem dość rzadkim.

2

Większość strachu udało mi się wypocić, ale wychodząc ze stołówki na lekcję historii, mimo wszystko wyłowiłam komórkę z kieszeni i raz jeszcze wyszukałam artykuł „Flora fizjologiczna człowieka”, który powinien się znajdować w kategorii „horror”. Kiedy tak szłam i czytałam, usłyszałam głos mamy wołającej mnie przez otwarte drzwi swojej sali. Siedziała za metalowym biurkiem, pochylona nad książką. Uczyła matmy, ale jej wielką pasją było czytanie.

– Nie używamy telefonów na korytarzu, Azo! – zawołała.

Schowałam komórkę i weszłam do sali. Do końca przerwy na lunch zostały cztery minuty – w sam raz na rodzinną pogawędkę.

Mama zerknęła na mnie i chyba zobaczyła coś w moich oczach.

– Wszystko OK? – zapytała.

– Taa, wporzo – odmruknęłam.

– Nie masz lęków – powiedziała.

Doktor Singh poprosiła ją kiedyś, żeby przestała mnie pytać, czy czuję lęk, więc teraz zamiast pytać, mama negocjowała.

– Nic mi nie jest.

– I bierzesz lekarstwa. – Zapamiętała też, żeby nie okazywać mi braku zaufania.

– Taaa... – odparłam, co zasadniczo nie było kłamstwem. Gdy w pierwszej klasie przeżyłam coś w rodzaju załamania nerwowego, zapisali mi okrągłe białe tabletki. Codziennie miałam łykać jedną. Brałam je średnio trzy razy w tygodniu.

– Chyba się trochę...

Dobrze wiedziałam, że chce powiedzieć „spociałś”.

– Kto decyduje o tym, kiedy dzwoni dzwonek? – zapytałam. – Na przykład w szkole?

– A wiesz, że nie mam pojęcia? Chyba ktoś z kuratorium.

– Kto wymyśla to, że przerwa na lunch trwa trzydzieści siedem minut, a nie pięćdziesiąt? Albo dwadzieścia dwie? Albo ileś?

– Twój mózg wydaje się pracować na bardzo szybkich obrotach – zauważyła mama.

– Po prostu się zastanawiam. Nie wiem tych wszystkich rzeczy i muszę z tym żyć. To trochę tak, jakbym żyła na podstawie czyjegoś planu i nigdy nawet nie spotkała tej osoby.

– Cóż, pod tym względem i wieloma innymi amerykańskie licea trochę przypominają więzienia.

Zrobiłam wielkie oczy.

– Kurczę, mamó, trafiłaś w sedno! Te wykrywacze metalu i ściany z pustaków...

– Jedne i drugie są przepełnione i niedofinansowane

– weszła mi w słowo. – I ludzie poruszają się w nich na dzwonek.

– I nie wolno samemu decydować, kiedy się je lunch – dodałam. – Poza tym w więzieniach pracują żądni władzy, skorumpowani strażnicy, zupełnie tacy jak nauczyciele w szkołach.

Zerknęła na mnie z ukosa, ale zaraz wybuchnęła śmiechem.

– Wracasz po lekcjach prosto do domu?

– Tak. Potem muszę zawieźć Daisy do pracy.

Skinęła głową.

– Czasem żałuję, że nie jesteś już dzieckiem, ale potem przed oczami staje mi Chuck E. Cheese* i dochodzę do wniosku, że mogłoby być gorzej.

– Daisy próbuje zarobić na studia.

Mama spuściła wzrok na książkę.

– Gdybyśmy mieszkali w Europie, studiowanie byłoby znacznie tańsze. – Przygotowałam się na jej tradycyjną gadkę na temat kosztów studiowania. – W Brazylii studia są darmowe. W większości europejskich krajów też. I w Chinach. A tu za naukę na państwowej uczelni żądają dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie! Parę lat temu skończyłam spłacać własne kredyty, a za chwilę będziemy musiały wziąć kolejne na ciebie!

– Dopiero zacznym jedenastą klasę. Mam mnóstwo czasu na wygranie na loterii. A jak się nie uda, zacznę handlować amfą.

Uśmiechnęła się pośepnie. Naprawdę przejmowała się kosztami moich przyszłych studiów.

* Chuck E. Cheese's – amerykańska sieć restauracji połączonych z małymi centrami rozrywki. Jej symbolem jest myszka o imieniu Chuck E. Cheese (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– Na pewno wszystko gra? – zapytała.

Skinęłam głową. Dobiegający z góry dzwonek dawał mi sygnał, że czas udać się na historię.

Gdy po lekcjach dotarłam do samochodu, Daisy siedziała już w fotelu pasażera. Zdjęła poplamioną koszulkę i włożyła swoje czerwone polo Chuck E. Cheese. Trzymała plecak na kolanach, pijąc szkolne mleko z kartonika. Była jedyną osobą, której ufałam na tyle, by dać jej kluczyki do Harolda. Nawet moja mama ich nie miała.

– Nie pij nieczystych płynów w moim samochodzie – powiedziałam.

– Mleko jest czyste!

– Bzdura – oświadczyłam. Podjechałam do drzwi szkoły i czekałam, aż Daisy wyrzuci mleko do kubła.

Może byliście kiedyś zakochani. Chodzi mi o prawdziwą miłość, którą moja babcia opisywała cytatem z pierwszego listu św. Pawła do Koryntian – taką, co to jest cierpliwa i łaskawa, nie zna zazdrości, nie szuka poklasku, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystko przetrzyma. Nie lubię szastać słowem na „m”, bo to, co się pod nim kryje, jest zbyt dobre i zbyt rzadkie, by go nadużywać. Można mieć dobre życie, nie znając w ogóle prawdziwej miłości, tej z listu do Koryntian, ale ja miałam szczęście. Znalazłam Harolda.

Był szesnastoletnią toyotą corollą w kolorze mystic teal mica, z silnikiem warczącym w jednostajnym rytmie, jakby to było bicie jego niepokalanego metalowego serca. Kiedyś należał do mojego taty i szczerze mówiąc, to tata nadał mu

imię. Mama nie chciała sprzedać auta, więc stało w garażu przez osiem lat aż do moich szesnastych urodzin.

Zmuszenie silnika Harolda do współpracy po tak długiej przerwie pozbawiło mnie całych czterystu dolarów, które zaoszczędziłam do tamtego momentu – kieszonkowego, reszty chomikowanej od czasu do czasu, gdy mama wysyłała mnie po zakupy do Circle K, zarobków z pracy sezonowej w Subwayu, prezentów gwiazdkowych od dziadków – więc w pewnym sensie Harold stanowił zwieńczenie całego mojego życia, przynajmniej w sensie finansowym. Kochałam go. Często o nim śniłam. Miał wyjątkowo przestronny bagażnik, zrobioną na zamówienie wielką białą kierownicę i tylne siedzenie obite jasnobeżową skórą. Przyspieszał z łagodnym spokojem mistrza zen, który wie, że z niczym nie trzeba się spieszyć, a jego hamulce pojękiwały jak metaliczna muzyka. Kochałam go.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowy.las

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

**PIERWSZE MIEJSCE
NA TOPLISTACH „NEWYORK TIMESA”,
„WALL STREET JOURNAL” I „USA TODAY”**

Szesnastoletniej Azie do głowy by nie przyszło, że będzie prowadzić śledztwo w sprawie tajemniczego zniknięcia miliardera Russella Picketta. Jest jednak sto tysięcy dolarów nagrody do zgarnięcia, no i jej Najlepsza i Najbardziej Nieustraszona Przyjaciółka Daisy bardzo chce rozwiązać tę zagadkę! Dziewczyny wspólnie próbują dotrzeć do Davisa, syna miliardera, którego Aza poznała kiedyś na letnim obozie. Na pozór niewiele ich dzieli, ale tak naprawdę jest to przepaść.

Aza się stara. Stara się być dobrą córką, dobrą przyjaciółką, dobrą uczennicą, a nawet detektywem, jednocześnie zmagając się z obeszładniającymi lękami i dręczącymi myślami, których spirala coraz bardziej się zacieśnia.

FILM NA PODSTAWIE POWIEŚCI JUŻ WKRÓTCE



bukowylas.pl

Cena: 34,90 zł